

Eko-mohery?

23 lutego 2018

Największy obszar dzikiej przyrody, na jakim kiedykolwiek byłam – bezdroża wielkości Portugalii, pokryte gęstą siecią rzek, z pełną przepychu fauną, na której codzienne bytowanie człowiek nie wpływa w żaden sposób – to historia na inne opowiadanie. Poniższa jest o tym, co stało się później, gdy wraz z kanadyjskimi aktywistami ekologicznymi dotarłam do osady robotników leśnych, położonej w dalekim północno-wschodnim zakątku Kolumbii Brytyjskiej, do miasteczka składającego się z ciągu domków po obu stronach autostrady na Alaskę.

Postanowiliśmy uczcić naszą dwutygodniową przeprawę tratwą w miejscowym nocnym klubie (czy może raczej: spelunie), gdzie didżej nie przestawał puszczać piosenek country, podrywających miejscowych gości do wdzięcznych przytupów w objęciach. Moim towarzyszom grymas niesmaku nie schodził z twarzy, nie przestawali nalegać, by puszczano coś innego. Gdy didżej dał się w końcu uprosić i zaczął grać także reggae, natychmiast znaleźliśmy się na parkiecie, gdzie solo, w dowolnym stylu poruszaliśmy się w takt muzyki. Gdy puszczano „obce” melodie, wszyscy pozostali goście siadali, by cierpliwie je przeczekać. Cała ta sytuacja niespecjalnie sprzyjała budowaniu poczucia więzi. Czy można zaprzyjaźnić się z ludźmi, których muzyki nie tylko nie znosisz, ale nawet nie potrafisz dyplomatycznie tego ukryć? Dziesiątki razy przerabiałam podobne sceny, co niedawno przypomniiał mi list od Dicka.

Z położonego pod San Francisco horrendalnie drogiego daczowiska, wysłał mi list o jednym z rozdziałów mojej ostatniej książki. Oświadczył w nim: „Tak lubiane przez Ciebie regiony Stanów Zjednoczonych, gdzie chętnie słucha się muzyki country, są także miejscem zamieszkania najbardziej rasistowskich, reakcyjnych, autorytarnych w kwestiach religijnych (lub „wyznających ideologię dominionizmu”, jeśli

wolisz) ludzi w tym kraju. Wystarczy rzut oka na to, jak te buraki, rednecks (potomkowie białych, średniorolnych farmerów – jeżeli chcesz być uprzejma) głosują. Kochają Busha i są bardzo opóźnieni w przyswajaniu wartości Oświecenia. Powstaje pytanie, jaka jest zależność między muzyką country i politycznym wstecznictwem, o ile w ogóle jakaś jest?”.

Moje pierwsze pytanie do Dicka mogłoby brzmieć: o której muzyce country mówimy? Można przecież przywołać choćby długoletnie oddanie Johnny’ego Casha walce o prawa Rdzennych Amerykanów i jego sprzeciw wobec wojny w Wietnamie, piosenkę Merle Haggarda „Irma Jackson”, opowiadającą o miłości przekraczającej bariery rasowe (jej wydania odmówiła jednak wytwórnia płytowa; stała się ona hitem później, w 1970 r., w wykonaniu gwiazdy mniejszego kalibru – Tony’ego Bootha) albo utwór „I believe the South is gonna rise again” („Wierzę, że Południe znów powstanie”), zuchwale zaśpiewany przez Tanyę Tucker w 1974 r.:

Dla sąsiadów-Jaśniepaństwa byliśmy „chamami”:
Bez własnej ziemi, z nędznymi chałupami...
Jacksonowie z naprzeciwka też nie dojadali
Lecz ich skóra była czarna, a my byliśmy biali.

Wierzę jednak, że Południe znów powstanie
Jednak nie takie, jak kiedyś
Lecz wspólnie, ramię w ramię...

Można też po prostu wspomnieć o 36-krotnym zdobywcy pierwszego miejsca na liście przebojów country magazynu „Billboard”. Charley Pride też nie wpisuje się w definicję Dicka, ponieważ jest Afroamerykaninem. Jeśli chodzi o poglądy polityczne, można przywołać pochodzącą z Teksasu żeńską grupę Dixie Chicks, która tuż przed rozpoczęciem wojny w Iraku odmówiła powstrzymania się od krytyki prezydenta Busha. Członkinie zespołu, by użyć słów jednego z ich przebojów, „nie miały zamiaru być miłe”.

Muzyka country to skomplikowany zwierz, czasem w opozycji lub wyśmiewający się z głównego nurtu myśli oraz z prowincjonalnego Południa, czasem służący za jego zwierciadło albo wyśpiewujący hymn na jego cześć; produkt wielu głosów i pokoleń, zrodzony z kultury, która nigdy nie była jednorodna.

Kolejne pytania do Dicka dotyczyłyby tego, dlaczego tak bardzo pogardza on ludźmi i miejscami, z których wzięła się ta muzyka – i jakiego rodzaju głębsze podziały zdradza jego zachowanie. Odpowiedź wymaga wgłębienia się w historię amerykańskiej muzyki oraz tutejszych walk rasowych i klasowych, a także analizy rozległego kryzysu ruchu ekologicznego, obserwowanego w ostatnich latach.

Owe walki szczególnie wyraźnie unaoczniają opowieści o Elvisie. Wychowano mnie na historiach o tym, jak ukradł on swoją muzykę Czarnym. W tej jednostronnej wersji nie ma miejsca na głos, że zasypał on ogromne podziały, przekazując kipiącą energię afroamerykańskiej muzyki białym uszom, sercom i biodrom. Jest ona także ślepa na wiele jego „białych” inspiracji, poczynając od bluesującego Hanka Williamsa a kończąc na sentymentalnym Perrym Como, oraz na genialny sposób, w jaki łączył różne amerykańskie tradycje muzyczne w coś zupełnie nowego. Ignoruje także brak segregacji rasowej w rdzennie amerykańskiej muzyce. Wykonywany przez białych country blues czy pieśni gospel były częścią tej samej szerokiej rzeki dźwięków, która płynęła z Południa na długo zanim pojawił się Presley. Pomimo panującej segregacji, biali i czarni muzycy uczyli się od siebie i wzajemnie na siebie wpływali. Takie spojrzenie na Elvisa znajdziemy w artykule opublikowanym w „Billboardzie” w 1958 r., w którym czytamy: „W jednym aspekcie amerykańskiego życia kulturalnego, integracja już się dokonała”.

Opowieść o tym, że Elvis ukradł swoją muzykę Afroamerykanom, uczyniła z rock’n’rolla niemal idealnie białe dziecko, cudownie poczęte przez wyłącznie czarną rodzinę. To był sposób na powiedzenie, że mili i poprawni biali mogą kochać

rock'n'rolla – białą muzykę z korzeniami na Południu – ale odcinają się od jakichkolwiek powiązań z białymi mieszkańcami tej części kraju. Mogą wyobrażać ich sobie jako zupełnie innych od siebie i z łatwością ich nienawidzić, z żarliwością i pogardą, którą następnie swobodnie przelali na wszystkich pracowników fizycznych mieszkających na prowincji. Ta nienawiść miała i ma szeroki zasięg. Spytajcie Dicka.

Historia o tym, że rasizm przynależny jest biednym mieszkańcom Południa, brzmi trochę zbyt prosto. Tak jak nie wszyscy ludzie tu na górze, w sensie ekonomicznym i geograficznym, znajdują się po dobrej stronie barykady, tak nie wszyscy tam na dole znajdują się po złej. Wspomniana historia pozwala jednak przedstawicielom klas średnich nienawidzić wszystkich ubogich, a jednocześnie twierdzić, że wspierają prawdę, sprawiedliwość i wszystko inne, co dobre.

Dorastałam w otoczeniu liberalnej lewicy i lewaków, którzy uwielbiali przedrzeźniać osoby z południowym akcentem, robić sobie żarty z „białej nędzy” (white trash) czy z biedoty zamieszkującej przyczepy samochodowe, a także wydawać dziwaczne dźwięki, ilekroć usłyszeli Dolly Parton. Jeżeli Okies z Muskogee [1] sądzili, że się z nich wyśmiewano, przynajmniej po części mieli rację. Tego rodzaju kpiny były szczególnie powszechne w latach 70. i 80., jednak bynajmniej nie są obecnie wyłącznie odległym wspomnieniem – w końcu Dick napisał do mnie latem 2007 r. Moja starsza już mama cały czas używa słowa „burak” w liberalnym znaczeniu, by opisać ludzi, pomiędzy którymi wzrastałam (choć byli oni po prostu konserwatystami z przedmieść), a w 2007 r. na letnim obozie w Nevadzie poznałam chłopaka z Nowego Jorku, który powiedział, że jego również wychowano w nienawiści do country. Szczęśliwie nauczył się kochać tę muzykę, jednak tak samo jak ja – czyli dopiero po latach.

Moje „nawrócenie” na country przyszło nagle, w 1990 r., przy innym obozowym ognisku, także w Nevadzie. Bill Rosse, z Szoszonów Zachodnich, słynny działacz antynuklearny i na rzecz

praw Indian do ziemi, odznaczony weteran II wojny światowej i były zarządca gospodarstwa rolnego, wyjął gitarę i godzinami śpiewał piosenki Hanka Williamsa oraz tradycyjne utwory. Byłam pod wrażeniem zarówno nieskrywanej urazy zawartej w niektórych z tych piosenek, jak i najczystszej tęsknoty emanującej z innych. Nie miałam pojęcia, że rzeczy, którymi gardzić uczono mnie zanim w ogóle je poznałam, kryją w sobie taki spokój, rozsądek i poetyckie piękno.

Nienawiść do białych z Południa, zwłaszcza biednych białych z Południa, która często rozciągana jest dalej, na wszystkich biednych białych z prowincji, wydaje się być dziedzictwem ruchu obrony praw obywatelskich. O ile mi wiadomo (jestem zbyt młoda, żeby to pamiętać), zaczęło się od tego, że mający szlachetne intencje mieszkańcy regionów poza Południem byli przerażeni rasistowskimi pierwiastkami w amerykańskiej kulturze i wypływającą z nich segregacją, dyskryminacją i przemocą – i słusznie. Ale spotkałam wściekłych białych rasistów także na przedmieściach Detroit, zaraz po drugiej stronie innej Mississippiego – tej kanadyjskiej. A ostatnimi ostentacyjnymi rasistami, z którymi miałam do czynienia, byli spadkobierca bajecznie bogatej rodziny oraz jego koleżka z klubu jachtowego. Było to właśnie tutaj – na wschodnim wybrzeżu supernowoczesnego San Francisco. Rasizm przekracza granice stanów i klas społecznych.

Tak więc z jednej strony mamy białych, którzy nienawidzą czarnych. Z drugiej – białych nienawidzących innych białych na podstawie przekonania, że ci ostatni nienawidzą czarnych. Ale ta druga nienawiść wielu oskarża bezpodstawnie, służy także jako wygodna zasłona dymna dla innych rodzajów rasizmu. Powód, dla którego wszystko to jest tak ważne, to fakt, że pogarda żywiona przez klasy średnie wobec biedaków stała się podstawowym konfliktem klasowym, a niekończące się zniewagi pod ich adresem stanowią przynajmniej połowiczną odpowiedź na pytanie o to, co w ostatnich latach osłabiło prospołeczne ruchy w ogóle, a ruch ekologiczny w szczególności.

Prawicowi politycy służą najbogatszym, tnąc dla nich podatki i dając im tyle deregulacji i prywatyzacji, ile ich dusze zapragną. Ale umiejętnie potrafią się także stroić w szaty obrońców „tradycyjnych amerykańskich wartości”, co przynajmniej do czasów gwałtownego spadku popularności Busha sprawiało, że wielu amerykańskich prowincjuszy widziało w nich raczej sojuszników niż wrogów. Prawica wykonała też świetną robotę w malowaniu obrazu lewicy jako elitarniej i wrogiej interesom klasy pracowniczej, a walka klasowa tocząca się wewnątrz i na zewnątrz grup lewicowych i ekologicznych oddała tej propagandowej ofensywie nieocenioną przysługę. Konsekwencją tego procesu było zmarginalizowanie ruchu obrońców środowiska, czy bardziej precyzyjnie – wykluczenie z kręgu jego potencjalnych sprzymierzeńców wielu z tych, którzy żyją najbliżej tego „środowiska”.

W latach 1990. spędziłam trochę czasu z działaczami ekologicznymi. Ci, którzy byli szczególnie radykalni w deklaracjach, nader często mieli jednocześnie wyjątkowy talent do takiego wchodzenia w wiejskie społeczności, by praktycznie każdy z mieszkańców miał prawo poczuć się urażony. Stało się dla mnie jasne, że w ich oczach najgorsze zbrodnie, jakich dopuszczali się lokalni mieszkańcy, nie miały nic wspólnego z piłami łańcuchowymi czy zachowaniem przy urnach, ale wiązały się z kulturą i wszystkim, co ma związek z tzw. stylem życia. To była wojna kulturowa, która dość znacznie odbiegła od rozważań, kto tak naprawdę szkodzi Ziemi oraz kto i w jaki sposób może to powstrzymać. Niechlujni, zarośnięci, bezdzietni pseudo-nomadowie, którzy mogli schrzanić właściwie wszystko, a nadal utrzymywali się na powierzchni – a gdy zaczynało być naprawdę źle, z opresji wyciągały ich długie ręce rodziców z klasy średniej – jawnie gardzili ciężkimi wyborami ekonomicznymi rodzin mających dzieci i obciążone hipoteki, za to pozbawionych możliwości restrukturyzacji swoich długów czy podjęcia pracy innej niż fizyczna. Wielu z tych aktywistów zrobiło wspaniałe rzeczy dla ratowania drzew, ale z punktu widzenia budowania szerokiego ruchu społecznego ich podejście

nie zawsze było, mówiąc ogólnie, optymalne. Nie było to oczywiście żelazną regułą. W ruchu ekologicznym byli także ludzie o szerokich horyzontach, niektórzy nawet o plebejskim pochodzeniu. Pogarda była jednak tak rozpowszechniona, że przesądzała o wizerunku ruchu; wydaje się, że po części właśnie dlatego wielu mieszkańców prowincji nie znosi „ekologów”.

Przypominam sobie rozmowę z młodym ranczerem w jednym z tych „antyeekologicznych” barów na najgłębszej prowincji Nevady, który nieśmiało zasugerował, że ekolodzy, w tym ja oraz grupa, z którą byłam, brzydzą się nim. Jego kapelusz był szeroki, a serce – dobre. Chwalił się trawą rosnącą aż do brzuchów jego krów, mówił o regularnym przeprowadzaniu stada w kolejne miejsca, by zapobiec erozji oraz potępiał kopalnie złota (które przecież eksploatują region nieporównywalnie intensywniej niż on). Nie mogło być wątpliwości, że byliśmy na złej drodze – ruch ekologiczny jako całość, gdyż moi zaprzyjaźnieni działacze z Nevady wykonywali dobrą robotę, zasypując kolejne podziały. Skądś się one jednak wzięły. Wspomniany bar w miejscowości Eureka, przynajmniej jeszcze w lipcu 2007 r. nadal sprzedawał koszulki z akronimem WRANGLERS, Western Ranchers Against No-Good Leftist Environmentalist Radical Shitheads (Ranczerzy z Zachodu Przeciwko Złym Lewackim Ekologicznym Radykalnym Gnojom) – hasła równie dyplomatycznego, co list od Dicka.

Socjalizm i inne postępowe ruchy społeczne, rozkwitające przez całe lata 1930., za swoją bazę społeczną uważały farmerów, drwali, rybaków, górników, robotników portowych i fabrycznych. W którym miejscu jesteśmy teraz? Wciąż dostrzegamy kolejne zaprzepaszczone szanse. Budowa szerokiego ruchu lewicowego, opartego o pracowników najemnych, została po części stłamszona przez zjadliwego, antykomunistycznego i antyzwiązkowego ducha czasów powojennych. Kolejne możliwości zostały podważone przez wojnę kulturową, zrodzoną z ruchu obrony praw obywatelskich. Do lat 80., kiedy to stałam się dostatecznie dorosła, by

zacząć zwracać na to uwagę, podziały stały się całkiem spore. A działacze ekologicznych zazwyczaj można było spotkać tylko po jednej ze stron.

Powstanie ruchu na rzecz sprawiedliwości środowiskowej (environmental justice) wynikało także z chęci, by naprawić tę sytuację. Celem wyjściowym było zmierzenie się z następującą sytuacją: oto inwestycje potencjalnie szkodliwe dla środowiska, jak rafinerie, spalarnie śmieci czy wysypiska toksycznych odpadów – są zwykle budowane na terenach zamieszkiwanych przez biedne i/lub kolorowe społeczności. Jednakże kwestie klasowe, a co za tym idzie biała biedota, szybko znikły z tego równania. Mówi się, że ruch na rzecz sprawiedliwości środowiskowej zapoczątkowała w 1982 r. sprawa składowania odpadów toksycznych na terenach wiejskich w Północnej Karolinie, zamieszkiwanych przez Afroamerykanów. Jednak pierwszy przypadek typowej „niesprawiedliwości środowiskowej” został ujawniony kilka lat wcześniej, w zdominowanej przez białych społeczności Love Canal, w zachodniej części stanu Nowy Jork. Nie był to wyjątek od reguły. Do powodzi w dolinie rzeki Buffalo Creek w 1972 r. doszło po pęknięciu kopalnianej zapory na szczycie jednego ze wzniesień w Zachodniej Wirginii. Spływający muł węglowy zabił 125 osób, a 4000 pozbawił dachu nad głową; zniszczył wiele małych osad i zdruzgotał tych, którzy przetrwali – prawie wszyscy z nich byli biali. Współcześnie kopalnie węgla nadal niszczą biedne, zamieszkane głównie przez białych regiony Południa. Antrim Caskey, dziennikarka obywatelska zajmująca się sprawami środowiska, opisuje, „jak przedsiębiorstwa wydobywcze nastawiają społeczności przeciwko sobie, wmawiając swoim pracownikom, że ekolodzy chcą zlikwidować ich miejsca pracy”.

Biali mieszkańcy terenów wiejskich byli uwodzeni (a następnie dymani) przez prawicę, zaś lewica w najlepszym razie ich ignorowała. Mapa preferencji wyborczych, tak naprawdę nie powinna pokazywać „czerwonych” i „niebieskich” stanów, ale

niebieskie miejskie wysepki rozsiane po Morzu Czerwonym [2]. Antyekologiczne, często wspierane przez korporacje ruchy, przyczyniły się do pogłębienia tej przepaści, dzięki przekonaniu białych mieszkańców prowincji, że ich źródła utrzymania są zagrożone działaniami organizacji ekologicznych. Drobnii farmerzy, tracący swoje ziemie, byli podatni na prawicową retorykę, która deklarowała zrozumienie dla ich cierpienia, a winnych podpowiadała szukać na lewej stronie sceny politycznej, wśród imigrantów, ekologów itp., choć prawdziwą przyczyną problemów była przecież rosnąca potęga korporacji, globalizacja i inne mechanizmy ekonomiczne. W okresie rządów Billa Clintona, gdy prawicowi prowincjusze bali się ONZ oraz „rządu światowego”, a ruch milicji obywatelskich [3] był niezwykle silny, żałowałam, że ruch sprzeciwu wobec korporacyjnej globalizacji nie potrafił dotrzeć do tych potomków starych Postępowców [4], Wobblies [5] oraz chłopskich buntowników, by opowiedzieć im o tym, że istotnie, istnieją przerażające scenariusze osiągnięcia światowej dominacji, jednak z udziałem nie Organizacji Narodów Zjednoczonych, lecz Światowej Organizacji Handlu. Ruch ekologiczny, lub szerszy ruch prospołeczny, którego przesłanie trafiałoby do owych społeczności, byłby naprawdę potężny – i demokratyczny.

Są już jego zaczątki. Przykładowo, Quivira Coalition i wiele innych grup na całym Zachodzie znalazły wspólny język z ranczerami, a fundusze powiernicze na rzecz ochrony gruntów zawiązały sojusze z farmerami. Przypominam sobie wspaniałą robotę, którą odwalają działacze na Południu – jak walczący o ochronę gruntów aktywista, któremu udało się uzyskać znaczące wsparcie ze strony lokalnych właścicieli ziemskich, czy wielki osiłek o czerwonej twarzy i typowo południowym akcencie, który fantastycznie pomaga afroamerykańskiej społeczności Lower Ninth Ward w Nowym Orleanie w jej walce o sprawiedliwość środowiskową. I podobni do Vana Jonesa z Oakland, którzy dążą do tego, by ochrona środowiska oznaczała jednocześnie tworzenie miejsc pracy. Nawet kandydat na prezydenta, John Edwards – syn pracowników zakładów tekstylnych w Północnej

Karolinie – mówi o kwestiach klasowych czy ubóstwie w sposób, w jaki nie czyniono tego w głównym nurcie debaty publicznej od wielu lat, a nawet dekad. Argument, że niezniszczone środowisko może być dla wiejskich społeczności najlepszym źródłem dochodów, np. z turystyki, staje się dziś coraz bardziej wiarygodny, a nawet najbardziej zatwardziali przeciwnicy ograniczeń w jego eksploatacji, jak poławiacze homarów z Maine, zaczynają uznawać związek między stanem przyrody a swoją przyszłością. Wiele jednak jest jeszcze do zrobienia.

Założony w 1892 r. Sierra Club, pierwsza amerykańska organizacja ekologiczna, widział naturę nie jako miejsce, w którym się żyje czy pracuje, ale takie, w którym się odpoczywa. Dlatego do dziś niejeden „tradycyjny” amerykański działacz ekologiczny wyobraża sobie naturę wyłącznie jako cel wakacyjnych podróży czy dziką przyrodę, zupełnie zapominając o krajobrazach półnaturalnych, jak tradycyjne krajobrazy wiejskie. Od kiedy jednak ruch ekologiczny zmuszony jest stawiać czoła problemom o typowo systemowym charakterze, jak kwestia pestycydów czy kwaśnych deszczy – jego aktywiści zaczęli odchodzić od niepisanego założenia, że wiejskie i miejskie, ludzkie i dzikie, jest od siebie niezależne, nadal jednak robili niewiele, by faktycznie połączyć ludzi i sprawy ze wsi i miasta. Dziś mieszkańcy prowincji postrzegają samych siebie jako niedocenianą, szybko kurczącą się strefę leżącą pomiędzy „dziką naturą” i „rozwojem”. Na szereg sposobów, kultura wiejska umiera i wydaje się, że wpędza to wielu mieszkańców prowincji w stan bliski paranoi. Podczas kryzysów niedoboru wody w dorzeczu rzeki Klamath na granicy stanów Kalifornia i Oregon, farmerzy mówili o „wiejskich czystkach” i najwyraźniej wierzyli, że działacze ekologiczni marzą o wyludnieniu się terenów wiejskich. Niektórzy z nich rzeczywiście to robią. Wiejskie realia, jakże odmienne od sentymentalnych fantazji o idyllicznej przeszłości, kowbojskiej mitologii czy stylu życia tych, którzy mieszkają w pseudorustykalnych domach, ale dojeżdżają do pracy w szklanych

biurowcach, są czymś, czego większość z nas przez większość czasu sobie nie uświadamia. To prawda, że dzika przyroda i rolnictwo często ze sobą rywalizują – farmerzy z dorzecza Klamath walczą z łososiami o dostęp do wody. Ale jeżeli kultura wiejska i wiejskie życie będą uznawane za pozytywne wartości, również godne ochrony, łatwiej będzie o mądre kompromisy.

Niemal pół wieku temu Wallace Stegner [6] napisał: „Coś w nas, jako ludziach, umrze, jeżeli pozwolimy, by ta dzika przyroda która pozostała, została zniszczona”. Ale coś umrze w nas także wtedy, jeżeli zniknie zaradność, poczucie zakorzenienia i inne wartości obecne w wiejskiej kulturze. Dlatego właśnie tak ważne są koalicje ekologów z farmerami oraz te wszystkie nowe sojusze, które podczas ery Busha zawiązały się w obronie spalonego słońcem Zachodu przed chciwym przemysłem naftowym. Są one jednak tylko niewielką częścią kultury i ruchu, który powinien robić o wiele więcej. Jednym z zadań byłoby niedopuszczenie, by prawica nadal nadawała ton debacie publicznej. Na głębszym poziomie, musimy znaleźć drogi do podtrzymania zarówno życia na wsi, jak i dzikiego życia. Rozwiązania cząstkowe – grodzenie nadrzecznych ekosystemów, budowanie korytarzy dla zwierząt, wspieranie zmian w modelu rolnictwa, z przesyczonej chemią produkcji przemysłowej w kierunku zrównoważonej, na potrzeby lokalnych rynków – w większości umożliwiają dążenie do obu celów jednocześnie. Rozwiązaniem systemowym będzie natomiast stworzenie kultury ceniącej wszystkie krajobrazy, które karmią nasze ciała oraz wyobraźnię, ziemie uprawne i dziką przyrodę. Oczywiście jedną z przeszkód będzie tu fakt, że życie na wsi przez lata podlegało uprzemysłowieniu – często mamy tam do czynienia ze swego rodzaju fabrykami, gdzie żywność wytwarzają wykorzystywani sezonowi pracownicy, a zyski trafiają do nieobecnych właścicieli. Zmiana tego stanu rzeczy byłaby korzystna zarówno z punktu widzenia praw człowieka, jak i środowiska – a także dla naszego zdrowia i dla jakości naszych posiłków.

Na szczęście Dick wydaje się być reliktem przeszłości. To, co sprawia, że mam taką nadzieję, to niektóre organizacje oraz pojawiające się tendencje. Wśród nich znajduje się powrót zainteresowania tym, skąd tak naprawdę pochodzi nasza żywność, coraz silniejszy trend do tego, by mniej potępiać, a bardziej angażować się w budowanie koalicji, oraz rosnąca zdolność do systemowego myślenia. Także dyskusja nad zmianami klimatycznymi może nas na nowe sposoby zjednoczyć, gdyż jasno pokazuje ona, jak współzależne jest wszystko na tej planecie oraz jak bardzo nadmierne przywileje i konsumpcjonizm stały się częścią problemu.

Antyekologiczna prawica w ciągu ostatnich kilku lat strzeliła sobie w obie stopy, tracąc wiarygodność i wyborców, co może oznaczać zbliżające się żniwa dla mądrej i dynamicznej lewicy. Konieczne będzie jednak zarzucenie czerpania moralnej satysfakcji z niegodziwości przeciwników i spojrzenie na nich jako na niezwerbowanych jeszcze sojuszników. Może to oznaczać, że typowy ruch ekologiczny straci rację bytu – zastąpi go bardziej całościowa refleksja nad tym, co i dlaczego chcemy chronić, wliczając w to ludzi, miejsca, tradycje i procesy nie należące do świata dzikiej przyrody. Może to nawet oznaczać porzucenie myślenia, że „lewica” i „prawica” są przydatnym czy choćby tylko zgodnym ze stanem faktycznym sposobem na określanie tego, kim jesteśmy i czego pragniemy. Musimy także zacząć z powrotem mówić o kwestiach klasowych, głośno i wyraźnie, bez unikania czy zapominania o kwestiach rasowych. Na końcu całej tej drogi znajdują się silniejsze sojusze społeczne, prawdziwa sprawiedliwość, czystsze środowisko, a może nawet muzyka, do której każdy będzie mógł potańczyć.

Autorstwo: Rebecca Solnit

Tłumaczenie: Marta Zamorska

Źródło oryginalne (pełna wersja): „Orion” (marzec-kwiecień 2008 r.)

Źródło polskie (wersja skrócona): NowyObywatel.pl

PRZYPISY TŁUMACZA

[1] Określenie, przez niektórych uznawane za nieco lekceważące, mieszkańców miasta Muskogee w Oklahomie. Jest także pewnym symbolem kulturowym, taki tytuł nosi jeden z przebojów Merle Haggarda.

[2] „Niebieskie” stany to te, w których większość mieszkańców głosuje na Demokratów, „czerwone” – na Republikanów.

[3] Mowa o popularnym w USA w latach 90., choć mającym długą tradycję, ruchu tworzenia oddolnych oddziałów paramilitarnych – większość z nich miała prawicowe oblicze ideowe, o odcieniu libertariańskim (obrona społeczności lokalnych przed „knowaniami Wielkiego Rządu”).

[4] W Ameryce termin „postępowy” (progressive) ma specyficzne znaczenie; w dość znacznym uproszczeniu można go uznać za synonim słowa „prospołeczny”. Do tego terminu tradycyjnie odwołują się grupy kwestionujące status quo, nadmierną władzę biznesu itp. Przed II wojną światową Partia Postępowa miała nawet swoich przedstawicieli w Kongresie.

[5] Popularne określenie członków Industrial Workers of the World, związku zawodowego o anarchosyndykalistycznych inklinacjach.

[6] Ceniony historyk i pisarz, zaangażowany w ochronę środowiska; żył w latach 1909-1993.